Fritz Leiber

Co on tam robi?

(What's He Doing in There?)

Galaxy Science Fiction December 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Doszedł tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden Marsjanin w historii — ale czy nie wyszedł za daleko — albo nie odszedł na dobre?

Profesor gratulował właśnie pierwszemu gościowi na Ziemi, przybyłemu z innej planety, tego że w swojej mądrości, przed rozmową z innymi naukowcami (albo, Boże zachowaj!, przedstawicielami rządu), zechciał spotkać się z antropologiem społecznym, oraz że nauczył się języka angielskiego z radia i TV, przed lądowaniem, latając w zaparkowanej na orbicie rakiecie, kiedy Marsjanin wstał i z wahaniem spytał:

– Przepraszam, proszę pana, ale gdzie to jest?

Te słowa wyraźnie zdumiały Profesora, zaś Marsjanin zdawał się być coraz bardziej zaniepokojony –– a przynajmniej jego długie usta wygięły się do góry, podczas gdy sam wcześniej wyjaśniał, że uśmiech oznaczało u niego wygięcie do dołu –– i powtórzył:

– Przepraszam, gdzie to jest?

Gość był zaskakująco humanoidalny, niemal pod każdym względem, ale jego skóra miała teksturę, upodabniającą go do zajmowanego przed chwilą, bogatego w ciemne barwy fotela, tak że należący do profesora szary prążkowany garnitur, który przybysz niecierpliwie zgodził się na siebie założyć, zdawał się stanowić strefę kontrastową między nim, a fotelem –– sprawiało to wrażenie długiej, luźnej pokutnej szaty, na widmie wyczarowanym z obicia fotela.

Żona Profesora, nieustannie czujna gospodyni, przyszła z ratunkiem mężowi, wygłaszając z jednostajną szybkością:

– Schodami na górę, koniec korytarza, ostatnie drzwi.

Usta Marsjanina, wywinęły się ze szczęściem do dołu, po czym rzucił tylko:

– Dziękuję bardzo.

I już go nie było.

W głowie Profesora, buchnęło zrozumienie. Dogonił swojego gościa, u podnóża schodów.

– Tutaj, pokażę panu drogę – powiedział.

– Nie trzeba, dam sobie radę, dziękuję bardzo – zapewnił go Marsjanin.

Coś, dosyć stanowczego, w tonie głosu Marsjanina, skłoniło Profesora do przepuszczenia go, a następnie biernego przyglądania się, jak gość wchodzi po schodach, kołyszącymi się, niemal hipnotycznie miękkimi, powolnymi ruchami. Wrócił do żony, mówiąc ze zdziwieniem.

– Kto by pomyślał, na George'a! Ich zakazy, dotyczące funkcji życiowych, są równie silne, jak nasze!

– Cieszę się, że przynajmniej niektórzy z twoich gości z pracy, ich przestrzegają – ponuro oznajmiła jego żona.

– Kochanie, akurat ten osobnik, jest z Marsa i odkrycie że jest on… hmmm, podobny do nas, w tego rodzaju aspektach życiowych, jest równie ekscytujące, jak odkrycie że woda jest spalonym wodorem. Jak sobie pomyślę, o tym niezbyt odległym dniu, w którym umieszczę informacje o nim w indeksie między-kulturalnym…

Nadal piał w uniesieniu, kiedy do pomieszczenia, wpadł Mały Synek Profesora.

– Tato, Marsjanin poszedł do łazienki!

– Cisza, mój drogi. Zachowuj się.

– Kochanie, ale to przecież zupełnie naturalne, że chłopiec obserwuje i jest podekscytowany. Tak, synku, Marsjanie aż tak bardzo się od nas nie różnią.

– Och, z pewnością – stwierdziła Żona Profesora, z cieniem goryczy w głosie. – Kiedy zaprowadzisz go na wydział, na powitalny bankiet, to nie wydaje mi się, aby ta turkusowa barwa jego skóry, wywołała jakieś komentarze. Wszyscy pomyślą, że po prostu miał ciężką noc –– a ten nosek mini-słonia, wyrósł mu od węszenia za stanowiskiem profesora.

– No wiesz co, kochanie! On pewnie myśli sobie, że to nasze nosy są nieprzyjemnie obcięte i zesztywniałe.

– No cóż, tato, w każdym razie, on jest w łazience. Poszedłem za nim, kiedy gramolił się na piętro.

– Posłuchaj, synku. Nie powinieneś tego robić. On jest na obcej dla siebie planecie i jeżeli pomyśli, że jest śledzony, może wzbudzić to jego niepokój. Musimy okazać mu, maksimum uprzejmości. Na George'a, nie mogę już się doczekać, żeby przedyskutować te sprawy z Ackerly-Ramsbottom! Kiedy pomyślę o tym, o ile więcej może to spotkanie dać antropologom, niż nawet fizykom, czy astronomom…

Zaczynał coraz bardziej rozpędzać się, ze swoją kolejną tyradą, kiedy przerwało mu drugie wejście na hiper-prędkości. To była Rozbrykana Córeczka Profesora.

– Mamo, tato, Marsjanin…

– Ćśśśś, kochanie. Wiemy.

Rozbrykana Córeczka Profesora, szybko odzyskała swoją młodzieńczą równowagę, co już samo w sobie, było faktem godnym wzmianki.

– No cóż, w każdym razie, on ciągle tam jest – powiedziała. – Właśnie próbowałam wejść, ale drzwi były zamknięte od środka.

– I bardzo dobrze, że były – odparł Profesor, zaś jego żona dodała:

– Tak, nigdy nie można być pewnym, co… – i powstrzymała się w ostatniej chwili. – Naprawdę, kochanie, to był przykład bardzo złego zachowania.

– Myślałam, że już dawno zszedł z powrotem na dół – próbowała wyjaśnić córka. – Siedzi tam strasznie długo. Minęło chyba z pół godziny, od czasu kiedy widziałam jak bujowiercił[1] się na górę po schodach, w ten swój niepowtarzalny sposób, z tym tutaj Panem Wścibskim na karku. – Rozbrykana Córeczka Profesora nasiąkała właśnie zarówno jivem jak i *Alicją*.



Profesor spojrzał na zegarek na ręce i na jego twarzy pojawił się niepokój.

– Na George'a, on naprawdę się nie śpieszy! Chociaż, oczywiście, nie wiemy przecież, ile czasu zajmuje Marsjanom…

– Przez chwilę nasłuchiwałem, tato – zgłosił się jego syn. – On puszczał bardzo dużo wody.

– Puszczał wodę, co? Wiemy przecież, że Mars jest planetą niemal jej pozbawioną. Przypuszczam więc, że kiedy uzyskał dostęp do niczym nieograniczonej ilości wody, mogło to wywołać u niego jakieś szaleństwo, i… Ale wydawał się przecież, tak dobrze przygotowany.

Wtedy odezwała się jego żona, wypowiadając na głos, dręczącą ich wszystkich myśl. W jej zazwyczaj grobowym głosie, pojawił się okruch życia.

– *Co on tam robi*?

Dwadzieścia minut, i co najmniej tyle najróżniejszych fantastycznych przypuszczeń, później, Profesor spojrzał ponownie na zegarek i postanowił zacząć działać. Odsuwając skinięciem ręki rodzinę na bok, wszedł po schodach i ruszył na palcach korytarzem.

Zatrzymał się tylko raz, aby pokręcić głową i wymruczeć pod nosem:

– Na George'a, szkoda, że nie mam tutaj Fenchurcha albo von Gottschalka. Oni są odrobinę lepsi ode mnie, w kontaktach interkulturalnych, a szczególnie w naruszeniach zakazów kulturowych i afrontach…

Jego rodzina podążała za nim, w niewielkiej odległości.

[1] W oryginale „gyre and gimbal", co jest nawiązaniem do Jabberwocky – wiersza Lewisa Carrolla pochodzącego z „ Po drugiej stronie lustra", drugiej części przygód Alicji. Skorzystałem tu z tłumaczenia Jolanty Kozak, które wydawało mi się najbliższe sensowi użycia powyższej frazy w tym kontekście (przyp. tłumacza).

Profesor zatrzymał się przed drzwiami łazienki. W środku było cicho jak w grobie.

Nasłuchiwał przez chwilę, a następnie rytmicznie zastukał, stabilizując swoją dłoń, trzymając ją za nadgarstek, drugą ręką. Rozległo się ciche chlapnięcie, ale nie było słychać żadnych innych dźwięków.

Minęła kolejna minuta. Profesor znowu zastukał. Tym razem nie było kompletnie żadnej reakcji. Bardzo ostrożnie, spróbował nacisnąć klamkę. Drzwi były ciągle zamknięte od wewnątrz.

Kiedy wycofali się na schody, to Żona Profesora, ponownie wyraziła ich myśli. Tym razem, w jej głosie słychać było tony ponadnaturalnego przerażenia.

– *Co on tam robi*?

– Może umarł, albo właśnie umiera – szybko zareagowała Rozbrykana Córeczka Profesora. – Może powinniśmy wezwać Straż Pożarną, tak jak to trzeba było zrobić, w przypadku starej Pani Frisbee.

Profesor skrzywił się.

– Obawiam się, że nie wzięłaś pod uwagę wszystkich komplikacji, moja droga – powiedział łagodnie. – Nikt, poza nami, nie wie, że na Ziemi jest Marsjanin, ani nie ma najmniejszego pojęcia, że można dokonać tego rodzaju podróży międzyplanetarnej. Cokolwiek zrobimy, musi to być zrobione na naszą własną odpowiedzialność. Co prawda, wedrzeć się tam, przerywając stworzeniu właśnie zajmującemu się… no cóż, nie wiemy jaką ważną intymną czynnością –– to wbrew wszystkim zasadom antropologii. A jednak…

– Umieranie, to ważna czynność – rzeczowo stwierdziła jego córka.

– Tak samo jak rytualna kąpiel, przed masowym zabójstwem – dodała jego żona.

– Proszę was! A jednak, jak właśnie miałem powiedzieć, mamy moralny obowiązek, aby udzielić mu pomocy, jeżeli, jak również i wy rozsądnie sugerowaliście, został obezwładniony przez jakąś bakterię lub wirusa, albo nawet, co jest bardziej prawdopodobne, przez jakiś prosty czynnik środowiskowy, taki jak wyższa grawitacja, panująca na Ziemi.

– Powiem ci coś, Tato… Mogę zajrzeć przez okno od łazienki i zobaczyć, co on tam robi. Muszę tylko wyjść przez okno mojej sypialni i przeczołgać się kawałek po parapecie. To równie bezpieczne, jak siedzenie w domu.

Pytanie rozpoczynające się od „Synu, a skąd ty wiesz…”, zamarło profesorowi niewypowiedziane na ustach, i celowo puścił mimo ucha słowa, które jego córka wygłosiła po cichu, do swojego brata. Spojrzał tylko na sardonicznie opanowaną twarz żony i raz jeszcze pomyślał o Straży Pożarnej oraz innych, jeszcze bardziej nawet zawistnych –– albo może, lepiej będzie to określić, sceptycznych –– agencjach rządowych, a następnie schwycił podawaną mu brzytwę.

Dziesięć minut później, zupełnie niepotrzebnie, pomagał synowi wejść z powrotem, przez okno sypialni.

– Jezu, Tato, nawet śladu po nim nie widać. Właśnie dlatego, trwało to tak długo. Hej, Tato, nie patrz takim wystraszonym wzrokiem. On tam jest, to raczej pewne. Po prostu siedzi w wannie, pod oknem, i trzeba by się naprawdę ścisnąć, żeby do niej zajrzeć.

– Marsjanin się kąpie?

– Zgadza się. Wlazł cały do wanny i tylko koniec jego małego nochalka wystaje spod wody. Twój garnitur, Tato, wisi na drzwiach.

Żona Profesora wypowiedziała tylko jedno słowo, ale zabrzmiało ono jak całe epitafium.

– *Utonął*!

– Nie, Mamo, nie wydaje mi się. Jego nochalek otwierał się i zamykał regularnie.

– A może on jest zmiennokształtny – Rozbrykana Córeczka Profesora oświadczyła w porywie szaleńczej fantasy. – Może on w tej wodzie zmięknie, wyciągnie się, aż stanie się długi jak węgorz, a potem wyruszy na badania przez rurę odpływową. Czyż to nie byłoby zabawne, gdyby przemknął się pod ulicami, wypchnął od wewnątrz korek i zakradł się do wanny w której siedzi prezydent Rexford, pani Rexford, albo prosto do jednej z wanien z bąbelkami „Och-jestem-taka-sexy" Janey Rexford?

– Proszę was! – Profesor przyłożył rękę do oczu i trzymał ją tam, podpierając łokieć drugą ręką.

– No cóż, czy może coś wymyśliłeś? – spytała go Żona, po chwili milczenia. – Co masz zamiar zrobić?

Profesor opuścił ręce, zamrugał oczyma i wziął głębszy oddech.

– Zatelegrafuję do Fenchurcha i Ackerly-Ramsbottoma, a potem siłą wejdę do środka – oznajmił zrezygnowanym tonem, ale w którym zdawała się pojawiać również nuta nadziei. – Przede wszystkim, jednak, mam zamiar poczekać do rana.

I usiadł po turecku, kilka jardów od łazienki, ze splecionymi na piersiach rękoma.

Tak więc rozpoczęło się długie, nocne czuwanie.

Rodzina Profesora również wzięła w nim udział, a on nie zgłaszał co do tego zastrzeżeń. Inny, bardziej stanowczy mężczyzna, powiedział sobie w duchu, mógłby sądzić, że będzie w stanie polecić dzieciom, aby szły do łóżka, podczas gdy Marsjanin siedział zamknięty w łazience, ale chciałby zobaczyć gościa, jak stawia czoła takiej sytuacji.

W końcu, przez okna sypialni, zaczął przesączać się świt. Kiedy światło żarówki w korytarzu, zrobiło się już niemal niewidoczne, Profesor rozplótł ręce.

Dokładnie wtedy, w łazience rozległy się głośne pluski. Rodzina Profesora wpatrywała się w zamknięte drzwi. Chlapanie ustało i usłyszeli odgłosy poruszania się Marsjanina. Potem drzwi otworzyły się i stanął w nich Marsjanin, ubrany w szary prążkowany garnitur Profesora. Kiedy zobaczył gospodarzy, jego usta wygięły się ostro do dołu, w szerokim uśmiechu obcych.

– Dzień dobry – radośnie przywitał ich Marsjanin. Nigdy w życiu jeszcze tak dobrze nie spałem, nawet w swoim mokrym łóżku, w domu, na Marsie.

Przyjrzał się lepiej całej sytuacji i jego usta wyprostowały się.

– Ale gdzie państwo spali? – spytał. – Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że siedzieli państwo na sucho przez całą noc! Nie oddali mi państwo chyba, swojego jedynego łóżka?

Usta wywinęły mu się do góry, w wyrazie nieszczęścia.

– Ojej – powiedział, – obawiam się, że popełniłem jakiś błąd. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób. Zanim jeszcze zacząłem badać wasze życie, nie znałem zwyczajów sennych ludzi, ale na to pytanie odpowiedź znalazła się sama –– prawdę mówiąc, wyglądała tak uspokajająco domowo –– kiedy zobaczyłem kilka krótkich scenek telewizyjnych, w których wasze kobiety przygotowywały się do snu w swoich małych wannach. Oczywiście, na Marsie tylko najwięksi szczęśliwcy mogą mieć pewność, że zawsze będą spali na mokro, ale tutaj, przy waszej obfitości wody, pomyślałem sobie, że mokre łóżka dostępne są dla wszystkich.

Przerwał na chwilę.

– To prawda, że ostatniej nocy miałem pewne wątpliwości, zastanawiałem się, czy użyłem właściwych słów, i w ogóle, ale kiedy zapukał pan do mnie na dobranoc, odrzuciłem od siebie wszystkie zastrzeżenia i zasnąłem w mgnieniu oka. Obawiam się jednak, że gdzieś pobłądziłem i…

– Nie, mój drogi przyjacielu – zdołał wykrztusić Profesor. Już od pewnego czasu delikatnie wskazywał gestem, że chce przerwać gościowi. – Wszystko jest w absolutnym porządku. To prawda, że zostaliśmy pod drzwiami przez całą noc, proszę jednak potraktować to jako straż –– straż honorową, na George’a! –– którą trzymaliśmy, aby okazać nasz szacunek.

KONIEC